11 numer

TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 11. POZNAŃ 14go Grudnia 1878 roku. Rok I.

Prenumerata w Poznaniu i na Prowincyi rocznie 8 marek — półrocznie 4 marki — kwartalnie 2 marki.

Wychodzi co Sobotę w objętości 1 — 1½ arkusza.

W Galicyi wynosi prenumerata kwartalnie 1 złr. 25 cent.

Prenumeratę przyjmują wszystkie księgarnie i urzędy pocztowe.

Koleje życia.

Powieść

T. T. Jeża.

(Ciąg dalszy).

I nie miał już potrzeby iść daléj.

W salonie na środku, obstawiony jarzącemi świecami, stał katafalk, a na katafalku leżało ciało Dyany.

Ten widok dziwne na nim sprawił wrażenie; opanowała go wściekłość. Poskoczył do katafalku, wywrócił świec kilka, porwał umarłą za rękę i pociągnąwszy ją tak, że się z katafalku zwaliła i po stopniach na podłogę potoczyła, gwałtownie krzyknął:

— Klucz! Moje pieniądze z procentami!

I padł bez zmysłów.

Odzyskał przytomność w kilka dopiero dni późniéj, obejrzał się do koła i spojrzał po sobie. Ujrzał się w małéj izdebce, ubogo wyglądającéj, na łóżku zasłanem grubą i podejrzanéj białości pościelą. Chciał się podnieść: nie mógł. Zawołał: nikt nie przyszedł. Przy nim stał poplamiony stolik, zastawiony buteleczkami i lekarstwami, wśród których leżała cynowa łyżka i stały jego kufry podróżne i zrzucone były w kącie na kupie, w jakieś grube związane radno, rzeczy.

Począł zbierać wspomnienia. Przychodziło mu to z wielką trudnością. Znów zawołał i znów nikt nie przyszedł. Zdawało mu się, jakby ołowiany jakiś ciężył na nim sen, a po głowie snuły mu się obrazy katafalku, Dyany, kassy, jego szuflady, psów i Eliasza. Czuł przytem, że jest chory.

Po upływie godziny, może więcéj, czasu, który spędził na zbieraniu rozstrzelonych i wciąż uciekających wspomnień, weszło do izby dwóch ludzi: jeden nieznajomy a drugi ten sam lekarz, który raz na tydzień przez lat dziewięć do Kamionek przyjeżdżał. Nieznajomy zatrzymał się u nóg. Lekarz zbliżył się, popatrzył mu w oczy i wziął go za puls.

— Doktorze, gdzie jestem? słabym odezwał się głosem.

— A? toś mnie już pan poznał, odparł lekarz. To dobrze, puls wolniejszy, silną masz naturę, atak był silny, lecz kryzys już przeszła.

— Gdzie jestem? powtórzył Edward zapytanie.

— Jesteś w Teodozyi, w zajezdnym domu. Oto gospodarz. . .

Tu ukazał ręką na nieznajomego, a zwracając mowę do tego ostatniego, podyktował mu, jak ma się z chorym pod względem kuracyi i dyety obchodzić.

— Jakże ja się tu dostałem? zapytał jeszcze chory.

— O wszystkiem się pan dowiesz, jak skoro przyjdziesz do zdrowia, rzekł do niego lekarz. Jak będziesz zdrów, to wszystko będzie dobrze. Bądź spokojny i dobréj myśli. Powiem ci tylko tyle, że nic się nie stało złego. . .

Ostatnie lekarza wyrazy ani pocieszyły ani uspokoiły Edwarda. Pomimo to jednakże silna i zdrowa jego natura pokonała chorobę. Po kilku tygodniach przyszedł do zdrowia i częścią od gospodarza, częścią od lekarza dowiedział się, że został przeniesiony do hotelu przez służących z Kamionek i złożony z dodatkiem dwudziestu rubli na kuracyą. Gospodarz rachunkiem mu dowiódł, iż te dwadzieścia rubli od dawna już wyekspensował, na aptekę, na kleiki i rosołki.

— Tylko, zakończył, dobroć serca nie pozwoliła mi pana z izby na ulicę wyrzucić. Ale teraz, kiedyś już

Bogu dzięki wyzdrowiał, potrzeba żebyś mi dopłacił resztę.

— Czem? zapytał Edward wzruszonym głosem.

Gospodarz, zamiast odpowiedzi, pokazał ręką na kufry i dodał:

— Spodziewam się, że nie zechcesz pan przyprowadzać mnie do ostateczności, ażebym miał panu przyaresztowywać rzeczy.

Edward się gorzko uśmiechnął, uspokoił gospodarza z dobrem sercem i udał się do adwokata, któremu rozpowiedział od początku do końca cały przebieg swojéj sprawy.

Adwokat głową pokręcił.

— Gdybyś pan posiadał choć jaki świstek jako dowód, możnaby próbować procesu. Bez tego, co do pieniędzy, jedna tylko pozostaje panu droga: odwołać się do wspaniałomyślności, Eliasza; co zaś do gwałtu na pańskiéj osobie, możesz pan, jeżeli masz świadków wytoczyć proces na drodze kryminalnéj. Ten rodzaj procesu wymaga świadków samego czynu i lekarskiego *visum repertum*. W sprawie gwałtu sąd może panu przyznać albo satysfakcyą honorową, albo wynadgrodzenie pieniężne. W sprawie pieniężnéj: nic.

Edward, po głębokim namyśle, próbował trafić do wspaniałomyślności Eliasza. Napisał do niego: list pozostał bez odpowiedzi. Uprosił lekarza na pośrednika, ofiarując swemu przeciwnikowi odstąpienie od pretensyi co do gwałtu, byle mu zwrócił jego pieniądze, jego własność, jeżeli nie w całości z procentami, to bez procentów a nawet i bez dziewięcioletniego honoraryum. Lekarz jeździł, powrócił i w odpowiedzi przywiózł jak najbardziéj stanowczą odmowę. Eliasz o niczem ani wiedzieć chciał.

Edward przeto sprzedał część rzeczy, zaspokoił dług u gospodarza, i napisał skargę, w któréj wyłuszczył wszystkie do Eliasza pretensye. Skargę tę podał do sądu. Sąd odrzucił połowę skargi, tyczącą się historyi o kapitale i procentach, drugą zaś połowę odesłał na drogę kryminalną, na któréj komisye i śledztwa nie mogły, pomimo całéj gorliwości w szukaniu, wynaleźć istoty czynu zbrodni, zarzucanéj Eliaszowi. Nie było świadków, a lekarskie *visum repertum* niczego nie dowodziło. Lekarz kurował Edwarda z gorączki, nie zaś z pobicia, którego śladów, jako mniéj ważnych, nie dostrzegł przy chorobie ważniejszéj. Edward więc przegrał w pierwszéj instancyi.

Jego gniew, żal i rozpacz tak były wielkie, że bądź co bądź, chociażby tylko dla saméj satysfakcyi moralnéj, uwziął się przeciwnikowi swemu dowieść zbrodni. W tym celu, sprzedawszy resztę swoich rupieci, udał się do Symferopola i tam zaskarżył Eliasza i sąd niższy. Tam przegrał powtórnie, bez możności nawet powiedzenia sobie: *tout est perdu hors l'honneur*, wskazany bowiem został na kosztą procesu, których zapłacić nie miał czem. Stracił więc wszystko aż do ostatniéj szpilki, wyjąwszy listów pochwalnych, świadectw i atestatów, planu domu własnego i programu życia na przyszłość.

Nie powiedział sobie na pocieszenie *sic transit gloria mundi*. Na to zdobyć się nie mógł. Ilekroć pomyślał o tem co stracił, tyle razy przenikał go żal połączony z wściekłością. Nie czuł w sobie sił do przeniesienia téj straty. Czasem płakał jak dziecko, czasem zgrzytał zębami, palce sobie gryzł i włosy szarpał. Nie miał nawet za co „zjeść“ niekiedy, jak dawnemi czasy, kiedy się to, jako biedny student, z lekcyi utrzymywał a pece dusił.

— Och! moje pece!... wołał w rozpaczy.

Postanowił życie sobie odebrać. W tym celu, schowawszy papiery do kieszeni, ostatniego podartego i poplamionego surduta, wyszedł z Symferopola, dla poszukania ustronnego miejsca. Zamierzał się powiesić lub utopić. Szedł więc od rzeki do rzeki, od drzewa do drzewa, odkładając spełnienie zamiaru do jutra. Tymczasem żywili go miłosierni ludzie, którym po drodze rozpowiadał o swojem nieszczęściu, skarżąc się w ten sposób na sprawcę onego przed opinią publiczną. Ludzie jednogłośnie potępiali Eliasza. To sprawiało mu pewną pociechę i dla téj jedynie pociechy szedł coraz daléj i daléj, przeszedł dużo rzek, dużo lasów, minął mnóstwo pojedyńczych drzew, których horyzotalnie wyciągnięte konary zapraszały go do zawieszenia sznurka a na sznurku siebie, aż zaszedł do jakiegoś miasteczka.

Miasteczko leżało na wzgórzu. Na pochyłości wzgórza wspinały się nędzne, małe, brudne i' obdarte żydowskie domki, pomiędzy któremi szła droga.

Od czasu téj wędrówki na śmierć, trwającéj nie wiem już ile miesięcy, Edward po raz pierwszy uśmiechnął się na widok téj nędzy harmonizującéj z jego powierzchownością. Promień wesela zajrzał mu do duszy. Chuda jego, znękana twarz rozpogodziła się. Poszedł drogą, aż pod sam szczyt wzgórza, na którym widać było kościół, rynek, zajezdne domostwa i porządniejsze dworki i usiadł przed jednym z żydowskich domków. Był zmęczony : potrzebował spocząć.

Z domku wydobywał się odgłos stękania chorego czy choréj.

Wkrótce potem do tego domku wszedł jakiś schludnie ubrany, słusznego wzrostu, siwy ale czerstwy jegomość. Wchodząc, rzucił okiem na Edwarda, a po chwili wychodząc, zatrzymał się przed nim i ostro zapytał.

— Coś ty za jeden?...

— Jestem podróżny, ciężko skrzywdzony... Miałem proces z Eliaszem Endymionowiczem, który mnie zrujnował ze szczętem...

I zaczął rozpowiadać o wszystkiem.

Podczas kiedy on opowiadał, jegomość przypatrywał się mu pilnie. Marszczył brwi i ruszał ustami, jakby coś mówił do siebie. W końcu odezwał się głośno:

— Chodź ze mną... Będziesz mi rozprawiał po drodze.

I poprowadził Edwarda przez rynek w jedną z bocz-

nych ulic i wprowadził go do jednego z dworków a wchodząc do sieni, zawołał na głos:

— Żono! dzieci!... przyprowadzam wam Edwarda!...

Na wołanie to odpowiedziało okrzykiem z głębi dworku kilka głosów kobiecych:

— Edwardek!... Edwardek!...

Wybiegły do sieni trzy kobiety, a za niemi rój dzieci. Dzieci wołały wesoło:

— Wujaszek!.., Wujaszek!...

Kobiety obrzuciły Edwarda ramionami i, wydzierając go jedna drugiéj, zaciągnęły do izby, gdzie go ze łzami w oczach spotkała stara, poważna niewiasta.

Edward osunął się na kanapkę, ręce mu opadły, usta mimowolnie wyrzuciły wyrazy:

— Stryj!... Stryjenka!... Siostry!... Mój Boże!

Łzy dwoma strumieniami lunęły mu z ócz.

KONIEC.

Pamiętniki komedyanta.

P. Gyulaia.

(Z węgierskiego).

(Dokończenie).

Nadszedł wieczór. Przeczytałem raz jeszcze moją rolę i pospieszyłem potem do garderoby Kornelji. Drzwi znalazłem zamknięte.

„Otwórz, czy jest kto u ciebie!"

„Cóż znaczy ten hałas?"

„Nie masz nikogo. Dobrze, możeś jest niewinną. Studyowałaś dobrze twoją rolę. Czyś ty Desdemona?

„Tak jest — jak Desdemona obawiam się twego czarnego oblicza i twych dziko błyszczących oczu."

„Żyjesz już cały w twéj roli. — Dawidzie, jesteś chory. Lepiéj byłoby, gdybyś dzisiaj nie grał!"

„Czy nie słyszysz, jak publika się niecierpliwi? Oczekują Otella. Wszystkie kwiaty miasta zostały zakupione. Dzisiaj możemy z wieńców usłać sobie łoże.

„Żartujesz?"

„Po teatrze odprowadzę cię do domu i nie rozstanę się już z tobą, a obejmując cię ramieniem wyśmieję świat cały, tych nędzników, którzy mi ciebie chcą wydrzeć!"

„Przyjdziesz rzeczywiście?"

„Nie chcesz? — Może dałaś już komu innemu rendez-vouz? Mów, zdradna kobieto!"

„Nie dręcz mnie! Uściskaj mię i pocałuj lepiéj!"

„Nie na to czas teraz; ubieraj się! Już dzwoniono! Publiczność się już niecierpliwi. Odejdźmy; ale ty bądź Desdemoną, Otello jest zazdrosny!"

Sztuka się zaczęła. Pierwsze dwa akty dozwoliły mi znowu przemarzyć pierwsze dni naszéj miłości. Tylko twarz siedzącego w loży hrabiego draźniła mię czasem. Kilkakrotnie zmierzałem ku niemu mój sztylet. W trzecim akcie przeżyłem znowu znane cierpienia, nękające mię od roku. — Każdy poeta ma swój utwór ulubiony, w który wlewa całą swą duszę; każdy aktor ma jednę rolę, w któréj gra samego siebie i przewyższa się. — Moją była rola Otella. Nie nadaremnie obawiała się mnie Kornelja już w trzecim akcie. Jéj gra była nędzną. Ale czyż mogła grać inaczéj? Ha, ona nie była Desdemoną! A jednak rzucano jéj wieńce, podczas gdy mnie uraczono na końcu czwartego aktu gwiźnięciem. Gwizdajcie, sykajcie, kiedy tylko hrabia nie jest Rodrygo, a jam nie Otellem! Nadejdzie akt ostatni. Teraz wam pokażę potęgę sztuki. Albo jestem partaczem, albo wasze serca z kamienia. Będziecie płakać, ryczeć, a ja śmiać się będę z waszéj głupoty!

Przed rozpoczęciem piątego aktu przybiegł do mnie sufler.

„Ot, wreszcie jest i dowód. Patrz, list, wydarłem go służącemu teatralnemu; bądź zdrów, muszę pójść do budki, piąty akt się zaczyna!"

List był pisany ręką Kornelii, adresowany do hrabiego i mniéj więcéj téj treści:

„Mój drogi! Nie przychódź dzisiaj, bo Dawid chce u mnie pozostać. Zdaje się coś przeczuwać — drżę — Nie pojadę z nim jutro — udam chorobę i znajdę tak sposobność, uwiadomić cię o wszystkiem. Musi się to wszystko zakończyć — ratuj mię przed tym człowiekiem. Udam się z tobą do twych dóbr, tylko precz ztąd. Ach, gdybyśmy mogli dzisiaj jeszcze wyjechać!

„Oczekuję niecierpliwie poranku. Niech konie twoje będą w pogotowiu. Oby tylko coś niespodzianego się nie wydarzyło. Drżę ze strachu, ale myśl o tobie doda mi

mocy. Dziękuję za bukiet. Spoczywać będzie na mem łonie — będę marzyć o tobie!“

„Piąty akt, druga scena!“ zawołał inspicyent. „Otello, szybko, pan wychodzisz zaraz!“

Grzmiące oklaski powitały mię, zapewne by mnie za poprzednie wygwizdanie nagrodzić. Słyszę wśród wrzawy śmiech szyderczy całego świata, a uśmiechająca się twarz hrabiego przyprowadza mię do szaleństwa. — Spoglądam około siebie, ha! tam śpi Kornelja.

„Sprawa chce tego, sprawa chce tego,“ szeptał sufler.

Zaczynam grać.

„Sprawa żąda tego, serce moje! Nie każcie mi się nazwać, wy czyste gwiazdy! Sprawa tak chce! — Budzi się!

„Któż to? — Otello?“

„Tak, Desdemono.“

„Czy chcesz się położyć, mój mężu?“

„Czyś ty się modliła na noc Korneljo?“

„Tak, mój mężu.“

„Jeżeli sobie przypominasz winę jaką i jeźli nie przebłagałaś łaski niebios, to proś o nią natychmiast“ —

„I ty zmiłuj się nademną! — nie obraziłam cię nigdy, nigdy Kassja nie kochałam, jak tylko ogólną miłością bliźniego, którą Bóg nakazuje. Nigdym mu znaku nie dała!

„Nie Kassjo, nie chustka, lecz hrabia — i twój list! O fałszywa kobieto! serce me w kamień zamieniasz i zmuszasz mię, czyn mój nazwać morderstwem, który mi ofiarą się zdawał. Czytałem list. Przynieś go, by prawdę zaświadczył. On wyznał!“

„Co mój, małżonku?“

„Że był twym przyjacielem.“

„Jakto, w sposób niedozwolony?“

„Tak!“

„Tego nie może powiedzieć.“

„Nie, jego usta już nieme. Dzielny Jago czuwał nad tem.“

„O, bojaźń ma, mi to tłómaczy. Czy on nie żyje?“

„Choćby każdy z jego włosów był życiem, gniew mój wszystkie by pochłonął!“

„O Boże on zdradzony, jam zgubiona!“

„Opłakujesz go w mych oczach?“

„Odrzuć mnie mój mężu, tylko mnie nie zabijaj!“

„Precz, występna!“

„Zabij mnie jutro, pozwól żyć dziś tylko!“

„Jeźli się opierać myślisz.“ —

„Tylko pół godziny!“

„Stało się, nie potrzeba już zwłoki!“

„Tylko aż zmówię modlitwę.“

„Za późno!“

Tu rzuciłem się na nią i udusiłem ją. W téj chwili żyć przestała. Rozumiecie mnie? Nieżywą była — rzeczywiście nieżywą. Publiczność wybuchła ogólnym oklaskiem a ziemia okryła się kwiatami.

Dziś mogą nam wieńce służyć za poduszki. Pozostanę u ciebie, Korneljo! — nieżywa! — Wszechmocny Boże, cóż uczyniłem. — Ha, ten hrabia tam w loży. — Sprawa tego chciała. Więcéj mnie nie oszuka. O okrutne łzy! Sprawa tego chciała.

„Dawidzie, jesteś mordercą!“ syknął sufler osłupiały.

„Morderca!“ zabrzmiało echem wśród publiczności.

„Morderca!“ zagrzmiało z góry, z dołu, w niebie, na ziemi i w powietrzu. Przeraziłem się, wypadłem za kulisy, ztamtąd tylnemi drzwiami na ulicę a potem w góry. Błąkałem się i w tedy ochrzciły mnie burze starym Dawidem, szalonym Dawidem.

Czy jużeście wszyscy zasnęli? Czy mam, jak ów Rzymianin krzyknąć: „plaudite!“ O ty na sztuce się znająca publiko, pobożni słuchacze. Opowiadam tylko ścianom, i tylko zwierzętom leśnym coś zagram. A jednak miałbym wielką ochotę przed oczyma całego świata zagrać rolę, którą znaleźć można we wielu komedyach, jak mszczący się bohater uwodziciela swéj kochanki zabija!

— To byłoby jeszcze moją pasyą.

Hrabiego matka nie przeklęła! Jest teraz może szczęśliwym ojcem rodziny, ma znaczny urząd i mordercę zapewne na śmierć wskazać może. Wszystko jedno — musimy się jeszcze znaleźć, a jeżeli go dotychczas jeszcze znaleźć nie mógłem, w przyszłości mi nie ujdzie! — Nie jestem przecież jeszcze stary, moje włosy tylko tak osiwiały. Dramat się jeszcze nie skończył — jeszcze jedna scena. Oklasków będzie dosyć, może i wieńców — na grobie!

O sceno! — sceno!

Wy nie wiecie, co to jest scena! Tylko ja wiem to, którym na niéj żył, rozkoszował, cierpiał! Tam chcę też umrzeć! Łoże Desdemony ma mi być trumną, oklaski hymnem pogrzebowym, a kołysząca się kurtyna powłoką grobową. Ale niechaj nikt nie płacze, prócz małego, czarnego suflera! On tylko jedyny kochał mię na świecie.

Dajcie znak dzwonkiem. Tragedya się — skończyła.

KONIEC.

Malek-Adel.

Nowella

I. Turgeniewa.

przekład z oryginału.

G. Grodnickiéj.

Pantaleon Jeremjaszewicz Czertopchanow znany był całej okolicy jako człowiek gwałtowny, niebezpieczny, dumny i zawadyaka w najwyższym stopniu. Pochodził on z dawnéj, niegdyś bogatéj rodziny; przodkowie jego żyli wystawnie, przyjmowali zaproszonych i niezaproszonych gości, karmili ich na zabój; obcym stangretom dawali po ćwierci owsa na trzy konie; trzymali grajków, pieśniarzy, błaznów i psy; w dni świąteczne winem i brahą poili gawiedź; na zimę jeździli do Moskwy swojemi końmi, w ciężkich kolasach — a niekiedy po całych miesiącach siedzieli bez grosza, żywiąc się temi pokarmami, jakie wieś dostarcza.

Ojciec Pantaleona Jeremjaszewicza, odziedziczył majątek już w złym stanie, a że i sam z kolei „używał życia" więc, umierając zostawił jedynemu spadkobiercy: wioskę z trzydziestu pięciu duszami płci mężkiéj i siedemdziesięciu sześciu żeńskiéj — w zastawie, a nadto czternaście dziesięcin nieurodzajnéj ziemi w pustkowiu, Kołobrodowie.

Pantaleon dziecięce lata przepędził w domu rodzicielskim — i pod kierownictwem matki, dobréj, ale ograniczonego umysłu kobiety — wyrosł na swawolnego paniczyka. Ona jedna zajmowała się jego wychowaniem; nie wtrącał się do niego ojciec, zajęty gospodarstwem. Kłopoty zaś matki w edukacyi syna ograniczyły się jedynym wysiłkiem: przyjęła dla niego za guwernera dymisyonowanego wojskowego, alzatczyka, niejakiego Birkopfa — i do saméj śmierci drżała jak liść przed nim; a nuż, myślała, zechce wyjechać, co ja nieszczęsna pocznę? gdzie znajdę drugiego nauczyciela? I tego ledwo podstępem wydarłam sąsiadce! — Birkopf zaś, jako człowiek domyślny, umiał korzystać z wyjątkowości swego położenia: pił więc i spał od rana do wieczora. Po ukończeniu „kursu nauk" Pantaleon poszedł do wojska, wkrótce jednak „z powodu nieprzyjemnych zajść" wziął dymisyą. Matka jego już nie żyła. Umarła na pół roku przedtem, przestraszywszy się: we śnie bowiem ujrzała białego człowieka jadącego na niedźwiedziu. Mąż jéj wkrótce podążył za swą połowicą.

Pantaleon, na pierwszą wieść o chorobie ojca — spiesznie przyjechał — ale już go zastał martwym. Jakież było zdziwienie szanownego syna, gdy zupełnie niespodziewanie z bogatego dziedzica przemienił się w biedaka! Niewielu zdołą przenieść tak straszny kryzys. Pantaleon zdziczał, zgorzkniał. Z prawego, szczodrego i dobrego, choć nierozsądnego i gwałtownego człowieka, stał się pyszałkiem i zawadyaką — przestał żyć z sąsiadami — bogatych się wstydząc, biednymi pogardzając — i niesłychanie szorstko obchodząc się tak z jednymi, jak z drugimi — lekceważył nawet ustanowione władze: „ja przecież dawny szlachcic" bronił się z dumą. Mimo wszystkiego jednak był to człowiek czysty, duszę miał dobrą, nawet wielką, po swojemu: niesprawiedliwości, prześladowania nie znosił; chłopów swoich skrzywdzić nie pozwalał: „Jakto?" mawiał z gniewem — „moich dotykać, moich? Ha — nie byłbym Czertopchanow. . ."

II.

Pominąwszy koleje życia, przez które przechodził Czertopchanow po śmierci ojca — przyjdziemy od razu do epoki w któréj goniąc resztkami majątku, samotny, jedyną ma tylko radość, jedyną uciechę: przepysznego wierzchowca szaréj maści, dońskiéj rasy, przezwanego Malek Adelem, prawdziwie niezwykłe zwierzę.

Koń ten dostał się do niego następującym sposobem:

Przejeżdżając raz konno przez sąsiednią wioskę, usłyszał koło karczmy krzyk i gwar niezwykły. W pośrodku tłumu, w jednem i tem samem miejscu widać było podnoszące się i opadające silnie dłonie ludzkie.

— Co się tam dzieje? zapytał zwykłym swym rozkazującym tonem staréj baby, stojącéj na progu chaty.

— Bóg wie — odpowiedziała staruszka, a przyłożywszy zmarszczoną rękę do oczu: nasi biją żyda — dodała.

— Jakto żyda? jakiego żyda?

— A Bóg go zna, dobrodzieju Zjawił się tu u nas jakiś żyd — a zkąd go przyniosło — kto tam wie? Tak go i biją mój panie.

— Jakto biją? za co?

— A nie wiem, panie. Widać za coś go biją. I jak nie bić? Wszak on Chrystusa Pana rozpiął na krzyżu!

Czertopchanow krzyknął, uderzył konia nahajką, puścił się prosto w tłum i tąż nahajką łupiąc chłopów bez wyboru na prawo i lewo wyrokował przerywanym głosem: Samo . . . wolność! Samo . . . wolność! Prawo powinno karać — a nie prywatni ludzie! Prawo! Prawo!! Pra-a-wo!!!

Nie przeszło dwie minuty a tłum rozbiegł się w różne strony i na ziemi przed karczmą ukazało się stworzenie chude, niewielkie, z brunatną twarzą, rozczochrane, w nankinowym, poszarpanym surducie. . . Blada twarz, błędne oczy, roztwarte usta. . . Co to? zemdlenie ze strachu czy już sama śmierć?

— Dla czegoście zabili żyda? gromowym głosem krzyknął Czertopchanow groźnie potrząsając nahajką.

Tłum cicho jęknął w odpowiedzi. Ten trzymał się za plecy, drugi za bok, trzeci za nos.

„Patrzcie go — jaki mi mądry! Z nahajką!! przemówił ktoś z tylnych rzędów.

— Zdrowo bić! — odezwał się drugi głos.

— Żyda dla czegoście zabili? pytam was, Azyaty zakamieniałe! powtórzył Czertopchanow.

Lecz w tem leżące na ziemi stworzenie zerwało się nagle, a cofnąwszy się za Czertopchanowa, gorączkowo uchwyciło kraj jego siodła.

Przyjacielski śmiech zagrzmiał w tłumie. „Żywy!“ odezwano się znowu w dalszych rzędach „To mi ptaszek!

— Wielmożny panie, niech się wielmożny pan ujmie za mną, niech mnie uratuje — jękał tymczasem nieszczęsny żyd całą piersią, przyciskając się do nogi Czertopchanowa — bo oni mnie zabiją!

— Za cóż oni tak na ciebie? spytał Czertopchanow,

— Jak Boga kocham — ja sam tego nie umiem powiedzieć. U nich bydlątka zaczęły zdychać... tak oni posądzają... a ja...

— No, to późniéj zobaczymy! przerwał Czertopchanow — a teraz trzymaj się za siodło i idź ze mną. A wy! dodał obracając się do chłopów — czy mnie znacie? Jestem Pantaleon Czertopchanow, dziedzic, żyję w wiosce Bezsonowie — no i rozumie się — możecie mnie skarzyć a i żyda także!

— Za co skarżyć? przemówił z nizkim ukłonem stateczny, siwobrody starzec, prawdziwy starożytny patryjarcha (który jednak żyda niegorzéj od drugich tuzował) — My ojcze — Pantaleonie Jeremjaszewiczu znamy was dobrze; i bardzo wam dziękujemy, żeś nas pouczył!

— Po co skarżyć się! podchwycili drudzy; a poganin ten i tak dostanie za swoje! On przed nami nie ucieknie!

Czertopchanow zakręcił wąsa i odprowadzany przez żyda, ruszył stępą do domu.

III.

W kilka dni potem jedyny kozaczek Czertopchanowa przyszedł mu powiedzieć, że jakiś konny przyjechał i chce się z nim widzieć. Czertopchanow wyszedłszy przed dom ujrzał znajomego już sobie żydka, na przepięknym dońskim koniu, stojącym nieruchomie i hardo. Żydek był bez czapki, trzymał ją pod pachą; rozerwane poły surduta wisiały z obudwóch stron siodła. Na widok Czertopchanowa, cmoknął, szarpnął konia i nogi z strzemion wysunął. Ale ten nie tylko nie odpowiedział na jego uprzejmość, ale nawet rozgniewał się; wybuchnął nagle: szelma żyd śmie siedzieć na takim pięknym koniu... co za nieprzyzwoitość!

— A ty etjopska gębo — złaź mi z konia natychmiast, jeśli nie chcesz by cię ztaszczono! W błoto!

Żyd szybko spełnił rozkaz — a przytrzymawszy jedną ręką cugle z uśmiechem i ukłonem postąpił ku Czertopchanowi.

— Czego chcesz? zapytał z powagą Pantaleon Jeremjaszewicz.

— Niech wielmożny pan popatrzy jaki konik? rzekł żyd nie przestając kłaniać się.

Hm — no tak — dobry koń. Zkąd go wziąłeś? Ukradłeś pewno?

— Co też to wielmożny pan mówi! Ja uczciwy żid — ja go dla wielmożnego pana dostał — prawdziwie! A już ja się tak starał, tak starał! Nu — to też i koń! Drugiego takiego na cały Don znaleźć nie można: — Niechno wielmożny pan obaczy, co to za koń! Proszę... proszę pana! prrr... prrr... nu — odwróć się, stańże bokiem: Ja i siodło zdejmę. A co, wielmożny panie?

— Koń dobry, powtórzył Czertopchanow z udaną obojętnością — choć mu aż serce zakołatało. Namiętnym był amatorem koni — i znał się na nich.

— Niech go wielmożny pan pogładzi! po szyjce — ot tak!

Czertopchanow, jakby niechcący — położył rękę na szyi konia, poklepał ją dwa razy, potem musnął palcami od chochoła po grzbiecie. Koń bezzwłocznie wygiął grzbiet i z ukosa spojrzawszy na Czertopchanowa swojem dumnem, czarnem okiem dmuchnął i zaczął przebierać przedniemi nogami.

Żyd zaśmiał się i zlekka klasnął w dłonie.

— Wielmożny panie — on pana w was uznaje, pana!

— No, nie kłam, przerwał mu z żalem Czertopchanów. — Kupić od ciebie tego konia... nie mam za co, a podarków nie już od żyda — ale i od samego pana Boga jeszcze nie przyjmowałem!

— Ny, jakżebym ja śmiał wielmożnemu panu co darować! wykrzyknął żyd; — nie — pan kupi... a na pieniążki — ja zaczekam.

Czertopchanow zamyślił się.

— Ty ile chcesz? syknął nareszcie przez zęby.

Żyd wzruszył ramionami. — Tyle ilem sam zapłacił. Dwieście rubli.

Koń wart był dwa, a nawet trzy razy tyle.

Czertopchanow odwrócił się i ziewnął febrycznie.

— A kiedyż... pieniądze? zapytał gwałtem marszcząc brwi — i starając się nie patrzeć na żyda.

— Kiedy panu będzie dogodniéj.

Czertopchanow cofnął w tył głowę — ale oczu nie podniósł. — To nie odpowiedź. Ty mów wyraźnie, Herodowe plemię! Cóż to ja zadłużać się u ciebie będę, czy co?

— Nu zrobim tak — szybko przemówił żyd — przez sześć miesiąców.., zgoda?

Czertopchanow milczał.

Żyd usiłował zajrzeć mu w oczy. — Zgoda? wielmożny pan każe do stajni odprowadzić?

— Siodła mi nie potrzeba, przemówił Czertopchanów. Weź siodło — słyszysz?

— A jakże, a jakże, wezmę, zaszczebiotał uradowany żyd i zarzucił siodło na ramię.

— A pieniądze, kończył Czertopchanow... za sześć miesięcy. — I nie dwieście, a dwieście pięćdziesiąt. Milczeć! Dwieście pięćdziesiąt, mówię tobie!

Czertopchanow jeszcze nie mógł zdobyć się na podniesienie oczu. Nigdy jego duma tyle nie ucierpiała. — „Widocznie dar,“ myślał sobie; „przez wdzięczność djabeł ofiarował!! I uściskał by tego żyda i wybił go...

— Wielmożny panie zaczął ośmielony żyd — wyszczerzywszy zęby — godziłoby się wedle ruskiego zwyczaju, z poły w połę...

— Ot jeszcze co wymyślił? — Żyd... a ruskie obyczaje! Héj — jest tam kto? Weź konia i odprowadź do stajni A owsa mu podsyp. Ja zaraz tam przyjdę, popatrzę. I wiedz: że się nazywa Malek-Adel.

Czertopchanow zwrócił się ku schodom, ale nagle wykręciwszy się na piętach podbiegł do żyda — i silnie uścisnął mu rękę. — Ten przechylił się i już usta złożył do pocałunku — ale Czertopchanow odskoczył w tył i wyrzekłszy pół głosem: „Nie mów nikomu!“ zniknął za drzwiami.

IV.

Od tego dnia — głównem zajęciem, główną troską, radością w życiu Czertopchanowa był Malek-Adel. To też i koń był! Ognisty a poważny! Niezmordowany, wytrwały; zwróć go, gdzie chcesz — cierpliwy; a nakarmić go łatwo: jak niczego innego nie ma — to i ziemię gryzie. Idzie stępa — to jakby na ręku niósł; kłusem, to jakby w kolebce kołysał, a popędzi, to i wiatr go nie dogoni. Nogi — stalowe; nigdy się nie potknął! Przeskoczyć rów albo płot — to dla niego było fraszką. A już jaki rozumny! Zawołasz go — biegnie zadarłszy główkę: każesz mu stać i sam odejdziesz — on się nie poruszy; zaledwie zaczniesz powracać, cichutko zarży: „ja tutaj.“ — I niczego się nie boi: w największą ciemnicę, zawieruchę — odnajdzie drogę; a obcemu za nicby się powodować nie dał: zębami zagryzie! Biada psu, co ię do niego zbliży: zaraz go przednią nóżką po głowie — tink! i już po nim. Koń z ambicyą: chybaby dla ozdoby wymachiwać nad nim biczykiem — ale dotknąć go — broń Boże! Ale co tu długo rozprawiać: — to skarb nie koń!

Zacznie Czertopchanow opisywać swego Malek-Adela — zkądciś się wymowa bierze! A już jak on go pieścił, piastował! Sierć jego jak srebrna — z pięknym ciemnym odblaskiem nowego srebra; musniesz ją dłonią — aksamit! Siodło, czapraczek, uzdeczka, cały przybór tak pięknie dobrany, w porządku, wyczyszczony, że tylko ołówek w rękę i rysować! Czertopchanow — cóż więcéj można? — sam własnoręcznie i grzywę swemu ulubieńcowi zapłatał — i ogon mył piwem. A nieraz nawet kopyta mazią smarował...

Bywało, siądzie na Malek-Adela i pojedzie nie do sąsiadów — on z nimi po dawnemu znać się nie chciał —a przez ich pola, mimo ich siedzib... Nacieszcie się zdaleka, durnie! Usłyszy, że gdzieś jest polowanie — na odległe pole jakiś bogaty pan zjechał — on zaraz tam — i harcuje w oddaleniu, na horyzoncie, zadziwiając widzów pięknością i rączością swego konia — a nikomu zbliżyć się nie pozwalając. Raz jakiś myśliwy popędzał za nim z całą swoją świtą — a widząc, że Czertopchanow oddala się od niego, zaczął z całéj siły krzyczeć: „Héj, ty, słuchaj! Bierz, co chcesz za swego konia! Tysięcy nie poskąpię! Żonę oddam, dzieci! Bierz ostatek!“

Czertopchanow nagle wstrzymał Malek-Adela. Myśliwy dogonił go. — Czego żądasz za konia, panie, ojcze kochany?!

— Jeśliś królem — wyrzekł zwolna Czertopchanow (a o Szekspirze w życiu swem nie słyszał) ofiaruj mi całe twoje królestwo za mego konia — a i tego nie przyjmę! Rzekł, zaśmiał się, wspiął Malek-Adela, zakręcił nim w powietrzu na samych tylnych nogach — niby bąkiem lub cygą — i marsz — marsz! A myśliwy (książę był, mówiono, i bardzo bogaty) czapkę o ziemię — i jak się rzuci twarzą w czapkę! Z pół godziny tak przeleżał.

I jakże Czertopchanow nie miał cenić swego konia? Czyż nie dzięki jemu uzyskał znowu wyższość niewątpliwą, ostatnią wyższość nad wszystkimi swoimi sąsiadami?

V.

Z tem wszystkiem termin wypłaty się zbliżał — a Czertopchanow nie miał nietylko już dwustu pięćdziesięciu — ale nawet pięćdziesięciu rubli. Co było czynić, zkąd wziąść? „Cóż?“ roztrzygnął nakoniec, „jak żyd się nie zlituje i nie zechce jeszcze poczekać oddam mu dom i ziemię — a sam na konia — gdzie oczy poniosą! Umrę z głodu — a Malek-Adela nie oddam!“

Był bardzo wzburzonym — zamyślał się nawet; ale los — po raz pierwszy i ostatni — zmiłował się nad nim, uśmiech mu przesłał: jakaś daleka krewna, któréj nawet nazwiska nie znał Czertopchanow, zapisała mu testamentem sumę ogromną w jego oczach, całych dwa tysiące rubli. I otrzymał te pieniądze w samą — jak mówią — porę — na dzień przed przybyciem żyda. Czertopchanow ledwo nie oszalał z radości. Pobiegł do stajni i swego przyjaciela ucałował z obu stron w mordę — w to miejsce nad nozdrzami, gdzie skóra u koni jest tak delikatna. — Już się teraz nie rozstaniemy! wykrzykiwał klepiąc Malek-Adela po szyi osłonionéj rozczesaną grzywą. Wróciwszy do domu odliczył i zapieczętował w kopercie dwieście pięćdziesiąt rubli. Potem położywszy się na wznak i ćmiąc fajeczkę, począł marzyć o tem, jak to on użyje pozostałych pieniędzy — a mianowicie jakich psów nakupi — prawdziwych kostromskich, a koniecznie czerwono-łaciastych! Porozmawiał nawet z Jaśkiem, któremu obiecał nową kazakinkę z żółtemi przy wszystkich szwach galonami — i położył się spać w najlepszym humorze.

Miał sen niedobry: niby to jechał na polowanie — ale nie na Malek-Adelu, tylko na jakiemś dziwnem zwierzęciu z rodzaju wielbłąda; naprzeciw niego biegnie biały, bieluteńki lis.... Chce więc machnąć biczem, chce go poszczuć psami — aż patrzy, a on w ręku w miejsce harapnika trzyma wiecheć i lis bieży przed nim i draźni go językiem. Zeskakuje więc z wielbłąda, potyka się, pada... i pada prosto w ręce żandarma, ten go prowadzi do jenerał gubernatora w którym on poznaje swego osobistego nieprzyjaciela...

Czertopchanów obudził się. W izbie było ciemno — drugi kur przed chwilą zapiał... Gdzieś tam daleko, daleko zarżał koń.

Czertopchanow uniósł nieco głowę... Jeszcze raz słychać było cichutkie rżenie.

— To Malek-Adel rży! pomyślał... To jego rżenie! Ale czemu tak daleko? Boże mój... Nie może być...

Czertopchanow zmartwiał cały; w oka mgnieniu zeskoczył z łóżka po omacku wyszukał buty, ubranie, odział się i wyciągnąwszy z pod poduszki klucz od stajni, wybiegł na podwórze.

VI.

Stajnia znajdowała się w samym końcu podwórza i jedną ścianą zwróconą była na pole. Czertopchanow nie mógł zrazu włożyć klucza w zamek — ręce mu drżały — i nie zaraz zdołał go u zamku przekręcić. Tłumiąc oddech postał przez chwilę: żeby się choć co ruszyło za drzwiami! „Maleszek! Malec!“ zawołał półgłosem: martwa cisza! Czertopchanów mimowalnie szarpnął kluczem, drzwi skrzypnęły i otworzyły się... Widać, nie były zamknięte. Przestąpił próg i znowu krzyknął na konia — tym razem już całem jego imieniem: Malek-Adel! Lecz nie odezwał się wierny towarzysz, tylko mysz zaszeleściła w słomie. W ówczas Czertopchanów podbiegł mimo ciemności prosto do miejsca w którém stał zwykle Malek-Adel. Pusto! Zakręciło mu się w głowie; niby dzwon zahuczał pod czaszką. Chciał coś powiedzieć — lecz z piersi w miejsce głosu wydobyło się charknięcie, wyciągnął ręce, ma-

cał w górze, na ziemi po bokach, zadyszany, z uginającemi się kolanami biegał po stajni, uderzał się o ściany, wreszcie upadł na głowę, i po chwili podniósł się i szybko przez drzwi wpółotwarte wyskoczył na dwór . . .

— Ukradli! Jaśku! Jaśku! Ukradli! zaryczał.

Kozaczek Jasko, piorunem w jednéj koszulinie wyleciał z komórki, w któréj sypiał . . .

Jak pijani zetknęli się w pośrodku pan i jedyny jego sługa. Pan nie mógł wyjaśnić o co chodzi; a sługa nie mógł zrozumieć, czego od niego żądają.

— „Nieszczęście! nieszczęście“ bełkotał Czertopchanów; nieszczęście! powtarzał za nim kozaczek. „Latarnię podaj, zapal latarnię! Światła! Światła! wyrwało się nareszcie z ścieśnionéj piersi Czertopchanowa. Jaśku podskoczył do domu.

Ale zapalić latarnię, rozniecić ogień niełatwo było, zapałki uchodziły w ówczas za rzadkość; w kuchni dawno pogasły ostatnie węgielki — krzesiwo i krzemień z trudem wynalezione, nieosobliwie skutkowały. Zgrzytnąwszy zębami, Czertopchanow wyrwał je z rąk przelęknego Jaśka, sam zaczął krzesać ogień, sypały się iskry obficie — a jeszcze obficiéj sypały się przekleństwa, nawet jęki — lecz hubka nie zapalała się lub zaraz gasła naprzekór połączonym usiłowaniom, czterech wydętych policzków i warg. Nakoniec nie wcześniéj jak po pięciu minutach, łojowy ogarek zabłysnął na dnie potłuczonéj latarni i Czertopchanow w towarzystwie Jaśka rzucił się do stajni, podniósł nad głową latarnię, obejrzał się . . .

Wszędzie pusto!

Wybiegł na podwórze, w każden kąt zaglądał — napróżno! płot otaczający siedzibę Pantaleona Jeremjaszewicza dawno już zestarzał się i w wielu miejscach pochylił się ku ziemi. . . Tuż przy stajni na cały arszyn szerokości leżał zupełnie połamany. Jaśko wskazał to miejsce Czertopchanowi.

— Panie! tego wczoraj nie było. Ot i pale sterczą z ziemi; musiał je kto wyrwać.

Czertopchanow podbiegł ku wskazanemu miejscu i latarnią oświecił ziemię . . .

— Kopyta, kopyta, ślady podków, ślady, świeże ślady! zamruczał. — Tędy go prowadzili, tędy, tędy!

W mgnieniu oka przeskoczył płot i z krzykiem: „Malek-Adel!“ poleciał prosto w pole.

Zdumiony Jaśko pozostał przy płocie. Światło latarni wprędce zniknęło mu z oczu stłumione gęstym mrokiem bez gwiazdy i bez księżycowéj nocy.

Coraz słabiéj i słabiéj odzywały się rozpaczne nawoływania Czertopchanowa.

VII.

Już jutrzenka była na niebie, gdy Czertopchanow wrócił. Niepodobny był do człowieka: zabłocone całe ubranie, dziki i straszny wyraz twarzy, oczy bezmyślnie i ponuro patrzące. Chrapliwym szeptem nakazał odejść Jaśkowi i zamknął się w pokoju. Ledwo trzymał się na nogach z zmęczenia — jednak nie położył się w łóżko, lecz usiadł na krześle przy drzwiach i schwycił się oburącz za głowę

— Ukradli! . . . ukradli!

Ale jakim sposobem złodziéj zdołał ukraść Malek-Adela nocą, z zamkniętéj stajni? jego, który i wednie obcemu zbliżyć się do siebie nie pozwalał — ukraść bez szelestu, bez stuknięcia? I jak wytłomaczyć sobie, czemu żaden z psów nie zaszczekał. Prawda, że ich tylko było dwa i to młode szczeniaki, które dla zimna i głodu wkopywały się w ziemię — zawsze jednak!

„Cóż ja pocznę teraz bez Malek-Adela? dumał Czertopchanow. Ostatnia radość odbiegła odemnie — czas umrzeć. Możeby drugiego kupić konia? Ale gdzie znaleźć drugiego takiego?“

— Pantaleonie Jeremjaszewiczu odezwało się nieśmiałe wezwanie z po za drzwi.

Czertopchanów zerwał się.

— Kto tam? zawołał zmienionym głosem.

— To ja, kozaczek Jaśko.

— Co chcesz? a może się znalazł, przyszedł do domu?

— Nie, nie, a tylko ten żyd, który go sprzedał?

— No?

— Przyjechał.

— Ho — ho — ho! zagrzmiał Czertopchanow i drzwi rozwarł na rozcież. — Dawaj go tu, dawaj! dawaj!

Na widok nagle zjawiającéj się, rozczochranéj, zdziczałéj głowy swego „dobrodzieja“ żyd stojący za plecami Jaśka chciał dać nurka; ale Czertopchanow dwoma susami go dogonił — i jak tygrys rękoma wpił mu się w gardło.

— A! po pieniądze przyszedł! po pieniądze! wołał — nocą ukradł a w dzień po pieniądze przyszedł? A? A?

— Zlituj się . . . wiel . . . moż . . . ny panie, jęknął żyd.

— Mów, gdzie mój koń? Gdzieś go podział? Komuś sprzedał? Mów, mów, mówże!

Żyd już i stękać nie mógł, z jego zsiniałéj twarzy zniknął nawet wyraz strachu. Ręce opadły i zwisły; całe ciało gwałtownie wstrząsane przez Czertopchanowa chwiało się w tył i naprzód jak trzcina.

— Ja ci pieniądze zapłacę wszystko, do ostatniéj kopiejki, krzyczał Czertopchanow, ale cię zaduszę jak kurczę, jeśli mi zaraz nie powiesz. . .

— Pan go już przecież udusił, zauważył pokornie kozaczek.

Opamiętał się Czertopchanów.

Puścił żyda, ten padł na podłogę. Czertopchanow podniósł go, posadził na ławę wlał mu w gardło kubek wódki — przywiódł go do przytomności. I gdy to nastąpiło, zaczął z nim rozmowę.

Okazało się, że żyd o kradzieży Malek-Adela nie miał najmniejszego pojęcia. I pocóż miałby kraść konia, o którego sam się wystarał dla „najszanowniejszego Pantaleona Jeremjaszewicza?“

Czertopchanow zatem zaprowadził go do stajni. Razem oglądali żłoby, zamek u drzwi, przerzucili siano, słomę, przeszli potem na podwórze; Czertopchanow pokazał żydowi ślady kopyt u płota i nagle uderzył się po udach.

— Stój! zawołał. Gdzieś ty go kupił?

— W powiecie Małoarchangielskim, na jarmarku Wierchosieńskim, odrzekł żyd.

— U kogo?

— U kozaka

— Słuchaj! Kozak był młody czy stary?

— Średnich lat, stateczny człowiek.

— A jakże wyglądał? Może jak filut, oszust?

— Zapewne, oszust, wielmożny panie.

— A jakże on ci mówił, ten oszust, dawno on miał u siebie tego konia?

— Zdaje się, mówił, że dawno.

— No — tak nie kto inny ukradł, tylko on! Ty osądź, słuchaj, stań tu . . . jak cię nazywają?

Żyd drgnął i czarnemi oczkami popatrzył na Czertopchanowa.

— Jak *mnie* nazywają?

— No tak.

— Moszel Lejba.

No osądź że Lejbo, mój przyjacielu, tyś człowiek rozumny — komużby się dał spokojnie uprowadzić Malek-Adel jak nie swemu dawnemu panu. Toż on go i osiodłał i okiełznał i derę z niego zdjął — oto ona tam leży na słomie! Zupełnie jak w domu się rządził! Przecież każdego innego prócz swego pana Malek-Adel by zdeptał nogami! Nieprawdaż?

— Nu tak, tak, wielmożny panie.

— A więc rozumie się, że przedewszystkiem trzeba odszukać tego kozaka!

— Ale jakżeż go odszukać, wielmożny panie! Ja jego raz jeden widziałem — a gdzież on teraz — a jak się nazywa? Aj, waj, waj, dodał żyd frasobliwie potrząsając pejsikami.

— Lejba! krzyknął nagle Czertopchanow, Lejba, popatrz na mnie. Jeśli mi nie pomożesz ja sobie życie odbiorę.

— No i cóż ja zrobię?

— Pojedziesz ze mną i będziesz szukał tego złodzieja!

— Ale gdzież my pojedziemy?

— Na jarmarki, po większych i mniejszych traktach, do miast, wiosek i folwarków — wszędzie! A o pieniądze ty się nie troszcz, na mnie dziedzictwo spadło! Ostatnią wydam kopiejkę a wyszukam swego druha! I kozak nam nie ujdzie, nasz wróg! — Gdzie on — tam i my! On pod ziemię — i my pod ziemię! — On do djabła — a my do samego szatana!

— Pocóż aż do szatana, zauważył żyd, możem się obejść bez niego.

— Lejbo! podchwycił Czertopchanow, — Lejbo, ty choć żyd i wiara twoja pogańska — a duszę masz lepszą jak niejeden chrześcijanin! Użal się ty nademną! Ja sam sobie nie dam rady. Ja gwałtownik — a ty masz rozum, złoty rozum! Wasze plemię już takie: bez nauki wszystko osiągnęło! Ty może niedowierzasz: myślisz, zkądby u niego były pieniądze? Pójdźmy do izby — ja ci wszystkie pieniądze pokażę. Weź je, weź krzyż z piersi, tylko oddaj Malek-Adela, oddaj!

Czertopchanow drżał jak w febrze: pot kroplami spływał mu z czoła — i mięszając się ze łzami — ginął w wąsach. Ściskał ręce Lejby, zaklinał go, ledwo nie całował... Odchodził od zmysłów. Żyd starał się go przekonać, zapewnić, że nie może wyjeżdżać, że ma interesa...

Gdzie! Czertopchanow i słuchać nie chciał.

Cóż było robić: zgodził się biedny Lejba.

Na drugi dzień Czertopchanow wraz z Lejbą wyjechali z Bezsonowa na chłopskim wozie. Żyd wydawał się być nieco zmięszanym, trzymał się jedną ręką drabiny wozu i podskakiwał całem swem wątłem ciałem na trzęsącem siedzeniu; drugą rękę przyciskał do piersi, gdzie obwinięta w gazetę spoczywała paczka asygnacyi; Czertopchanow siedział jak posąg, tylko oczyma wodził do koła i oddychał pełną piersią; za pasem u niego sterczał kindżał.

— No złodzieju strzeż się teraz! mruczał wyjeżdżając na szerszą drogę.

Dom swój pozostawił Jaśkowi i babie kucharce, głuchéj i staréj kobiecie, którą z litości wziął do siebie.

— Powrócę do was na Malek-Adelu, krzyknął na pożegnanie — albo już wcale nie wrócę!

VII.

Minął rok... cały rok: ani słychu o Pantaleonie Jeremiaszewiczu. Kucharka umarła; sam Jaśko miał już rzucić dom i udać się do miasta dokąd go namawiał przyrodni brat, będący fryzyerczykiem, gdy w tem rezeszła się wieść, że pan powraca! Djak parafialny dostał list od samego Pantaleona Jeremjaszewicza, w którym ten donosił mu o swoim zamiarze powrócenia do Bezsonowa i prosił o uwiadomienie służby dla przygotowania należytego przyjęcia. Słowa te Jaśko zrozumiał tak, że wartoby troszeczkę kurz pościerać — zresztą nie bardzo wierzył w prawdziwość téj wieści; przekonał się jednak, że dyakon mówił prawdę, gdy w kilka dni potem Czertopchanow w własnéj osobie ukazał się w podwórzu swéj siedziby konno na Malek-Adelu.

Jaśko rzucił się ku panu i przytrzymując strzemię chciał mu pomódz zejść z konia; ale ten zeskoczył sam i rzuciwszy w około tryumfujące spojrzenie, głośno zawołał: „powiedziałem, że odzyskam Malek-Adela — i oto go mam na pohybel wrogom i samemu losowi!“ Jaśko chciał go pocałować w rękę, ale Czertopchanow nie zwracał uwagi na żarliwość swego sługi. Prowadząc za cugle Malek-Adela dużemi krokami skierował się ku stajni. Jaśko baczniéj popatrzył na pana i zatrwożył się: „Och jak on schudł, jak się postarzał w ciągu tego roku — i twarz jakoś stała się surowa i sroga!“ A, zdawałoby się, że Pantaleon Jeremjaszewicz radowaćby się powinien że dopiął swego; on też i radował się, istotnie... a jednak Jaśko się przeraził, a nawet żal mu się zrobiło pana. Czertopchanow postawił konia na dawnem miejscu, a z lekka poklepawszy go po szyi rzekł: „No, widzisz, jesteś znowu w domu! popatrzże!...“ Tego samego dnia najął pewnego stróża z włościan niepłacących czynszu, umieścił się w swojem dawnem mieszkaniu i zaczął żyć po dawnemu...

Niezupełnie jednak po dawnemu. Ale o tem później.

Na drugi dzień po powrocie Pantaleon Jeremjaszewicz wezwał Jaśka i w braku innego słuchacza począł mu opowiadać, — nie tracąc, naturalnie, poczucia własnéj godności — i grubym głosem — jakim sposobem udało mu się odszukać Malek-Adela. Podczas opowiadania Czertopchanow siedział twarzą do okna zwrócony i palił fajkę na długim cybuchu; a Jaśko stał na progu drzwi z założonemi na plecy rękoma i z uszanowaniem słuchał opowieści pana, jak ten po wielu bezskutecznych próbach i rozjazdach dostał się nareszcze do Romszy na jarmark a to już sam, bez żyda Lejby, który z powodu słabości charakteru nie wytrzymał i uciekł od niego; jak piątego dnia, zabierając się już do odjazdu, poraz ostatni przeszedł się między rzędami wozów i nagle zobaczył, między trzema innemi końmi — Malek-Adela; Jak go zaraz poznał — i jak Malek-Adel poznał swego pana, zarżał, zaczął się szerpać i kopytem ryć ziemię. — I nie u kozaka go znalazłem, kończył Czertopchanow ciągle nie obracając głowy i tymże basowym głosem, — a u cygana — koniarza; ja naturalnie natychmiast przypisałem się do niego i gwałtem chciałem go odebrać; ale bestya cygan zawrzeszczał jak opętany, zaczął się bożyć, że kupił konia od drugiego cygana, i świadków chciał postawić... plunąłem — i zapłaciłem pieniądze: bierz cię licho! Dla mnie to najmilsze, żem druha odnalazł i pokój duszy odzyskał. A to i w Karaczewskim powiecie, usłuchawszy żyda napadłem na kozaka za mojego złodzieja go wziąwszy, wytłukłem po pysku; — aż tu okazało się, że to Popowicz — który za obelgę zdarł ze mnie sto dwadzieścia rubli. Ale pieniądze, rzecz nabyta — a główne: Malek-Adel znowu u mnie. Ja teraz szczęśliwy —

rozkoszować się będę spokojem. A dla ciebie, Janie, jedna instrukcya: jak tylko, czego Boże broń, zobaczysz w okolicy kozaka — tak w téj chwili, słowa nie mówiąc, przynieś mi broń — a ja już będę wiedział co zrobić!

Tak mówił do Jaśka Pantaleon Jeremjaszewicz; tak wyrażały się jego usta; ale serce nie było tak spokojne, jak on zapewniał.

Niestety! w głębi duszy niezupełnie był przekonany, że przyprowadzony przez niego koń był prawdziwym Malek-Adelem.

IX.

Przyszły ciężkie chwile dla Pantaleona Jeremjaszewicza. Spokojem mianowicie, najmniéj się cieszył. Prawda, zdarzały się i dobre dnie, w których powstałe w nim podejrzenie uważał za niedorzeczność; każdą myśl niemiłą odganiał jak natrętną muchę i sam nawet żartował z siebie; ale bywały i złe dnie: myśl nieodstępna jak mysz pod podłogą, skrobała i toczyła jego serce — męczył się strasznie i tajemnie.

Owego pamiętnego dnia, w którym odnalazł Malek-Adela, Czertopchanow doznawał jedynie uczucia błogiéj radości... ale nazajutrz rano, gdy pod nizkim poddaszkiem karczemki siodłał swój nalazek, w bliskości którego spędził noc, coś go po raz pierwszy tknęło... Kiwnął tylko głową — ale już ziarnko padło. Podczas powrotu do domu (trwającego z tydzień) rzadko prześladowały go zbudzone podejrzenia; one stały się silniejsze i wyraźniejsze, gdy powrócił do swego Bezsonowa, gdy zobaczył się w tem miejscu, gdzie żył niewątpliwy Malek-Adel... W drodze jechał po większéj części kłusem, rozglądał się po okolicy, palił fajeczkę i nie myślał o niczem, chyba tylko pomrukiwał z zadowoleniem: „Czego Czertopchanowie chcą, to już muszą dostać!"; uśmiechał się; ale od przybycia do domu zaczął paragraf drugi. Wszystko to naturalnie tail on w sobie; sama miłość własna nie pozwoliłaby mu zdradzać wewnętrznego niepokoju. On by „rozdarł na połowę" tego, któryby choć zdaleka napomknął, że nowy Malek-Adel, zdaje się, nie ten, co był dawniéj; przyjmował powinszowania z powodu „szczęśliwego odnalezienia" od tych niewielu osób, z któremi się stykał; ale nie szukał tych powinszowań i więcéj jak poprzednio unikał stósunków z ludźmi — zły znak! Prawie ciągle egzaminował, jeśli tak rzec można, Malek-Adela; jeździł na nim gdzie bądź daléj — i tam wystawiał go na próbą; albo ukradkiem szedł do stajni, zamykał za sobą drzwi — i stając tuż przed głową konia, patrzył mu w oczy i szeptał: „Tyżeś to? Ty? Ty?..." a nie, to milcząc, bacznie przypatrywał mu się całemi godzinami to radując się i mrucząc: „Tak! on! naturalnie on!" — to niepokojąc się i wątpiąc.

I nie tyle trwożyły Czertopchanowa fizyczne różnice *tego* Malek-Adela z *tamtym*... Wreszcie było ich bardzo niewiele; u *tego* ogon i grzywa niby były trochę niżéj umieszczone, uszy śpiczastsze i kuty krótsze i oczy światlejsze — ale to wszystko mogło się tylko zdawać; więcéj niepokoiły Czertopchanowa różnice, że tak powiem, charakteru U *tego* nawyknienia były inne, inne zwyczaje. Naprzykład: *tamten* Malek-Adel oglądał się zawsze i z cicha rżał za każdym razem, jak Czertopchanów wchodził do stajni; *ten* żuł sobie siano jakby nigdy nic — albo drzemał z osowiałą miną. Oba nie ruszali się z miejsca gdy pan zeskakiwał z siodła; — ale *tamten* zaraz przychodził usłyszawszy swoje imię — a *ten* stał jak pień. *Tamten* także prędko chodził a skakał wyżej i daléj; *ten* stępą szedł wolniéj, a kłusem trząsł więcéj — i niekiedy „dudnił" podkowami — t. j., tylną o przednią zawadzał: czego tamten — broń Boże! — nigdyby nie zrobił. *Ten* rozmyślał Czertopchanów, zawsze strzyże uszami tak głupio; *tamten* przeciwnie: odwinie jedno ucho w tył i tak trzyma i patrzy na swego pana! *Tamten* bywało, jak zobaczył, że koło niego nie czysto zaraz tylko nóżką stuknął o ścianę zagrody; a *ten* nic, — stoi obojętnie choćby miał po sam brzuch nawozu. *Tamten* jeśliś go naprzykład pod wiatr postawił — zaraz westchnął całemi płucami i wstrząsnął się; na deszcz lub wilgoć niepokoił się, trwożył; a *temu* wszystko jedno... O ten prostak, prostak! I nie taki przyjemny jak tamten i obojętny na cugle — co to i mówić! Tamten był miły koń, a ten...

Oto nad czem niekiedy rozmyślał Czertopchanow — a myśli te gorycz w nim rodziły. Za to, kiedyindziéj, gdy w najszybszym biegu przelatywał na swym koniu tylko zoraną rolę, lub zniewalał go wskoczyć na same dno parowu i spadzistą ścianą wyskoczyć znowu — serce w nim drętwiało z zachwytu, z ust krzyk się wyrywał i wiedział już, wiedział napewno, że pod nim prawdziwy, niewątpliwy Malek-Adel, bo jakiż drugi koń zdołałby to zrobić, co ten czyni?

Jednak i tu nie obeszło się bez biedy. Przedłużone poszukiwania Malek-Adela kosztowały Czertopchanowa dużo pieniędzy; o kostromskich psach już nie marzył i po dawnemu jeździł po okolicach samotnie. Otóż pewnego dnia Czertopchanow będąc w oddaleniu pięciu wiorstw od Bezsonowa napotkał polowanie tego samego księcia, — przed którym półtora roku temu tak młodzieńczo harcował. Los zrządził, że jak wówczas tak i teraz siwy zając skoczył z pod miedzy przed psami po pochyłości. Huź go, huź! Myśliwi suną za nim, a Czertopchanow na dwieście kroków w bok, sunie także — wszystko jak wówczas.

Pochyłość tę przerzynała ukośnie rzeczułka i podnosząc się coraz wyżéj i stopniowo zwężając przecinała drogę Czertopchanowi. Tam, gdzie ją musiał przeskoczyć, i gdzie ją rzeczywiście przeskoczył półtora roku temu — była jeszcze ośm kroków szeroka i do dwóch sążni głęboka. W przeczuciu tryumfu, tak dziwnym sposobem powtórzonego, — Czertopchanow zachichotał zwycięzko, potrząsł nahajką — myśliwi choć jechali sami nie spuszczali jednak z oka rączego jeźdźca; — koń leciał jak strzała — ot i rzeczułka pod samym nosem — no, nuże, odrazu, jak wtedy!...

Ale Malek-Adel silnie się oparł, zboczył na lewo i choć Czertopchanow gwałtem go zwracał ku rzeczułce — on puścił się w dół urwiska... Stchórzył — a więc, nie ufał sobie!

Wtedy Czertopchanow pałając gniewem i wstydem, ledwo nie płacząc, puścił cugle i pognał konia prosto, naprzód pod górę. Precz, precz od tych myśliwych, byle tylko nie słyszeć, jak oni szydzą z niego, byle tylko zniknąć prędzéj z ich przeklętych oczu!

Z oćwiczonemi bokami, pokryty pianą, przygalopował Malek-Adel do domu — i Czertopchanow natychmiast zamknął się w swojej izbie.

— Nie, to nie on, to nie mój druch! Tamtenby kark skręcił — a mnie nie zdradził!

X.

Ostatecznie „dobił," jak mówią, Czertopchanowa, następujący wypadek. Konno na Malek-Adelu prze-

jeżdżał raz po za dziedzińcem, otaczającym parafialną cerkiew Bezsonowa. Nacisnąwszy czapkę na oczy, zgarbiwszy się i opuściwszy ręce na łęk siodła, jechał wolno przed siebie: w duszy miał smutek, nie radość. Nagle, ktoś go zawołał po nazwisku.

Zatrzymał konia, podniósł głowę i ujrzał swego korespondenta, djakona: W zrudziałéj, chłopskiéj czapeczce na płowych włosach, splecionych w warkoczyk, odziany w żółtawy, nankinowy surdut, podpasany niebieskim skrawkiem, sługa ołtarza wyszedł obejrzeć swoje sianko — a spostrzegłszy Pantaleona Jeremjaszewicza uczuł się obowiązanym wyrazić mu swój szacunek — a przy téj sposobności wyprosić u niego jaką „drobnostkę.“ Bez tego rodzaju ubocznéj myśli, osoby duchowne, jak wiadomo, nie wdają się w rozmowę z świeckiemi.

Ale Czertopchanow nie miał ochoty gawędzić z dyakonem; ledwo odpowiedział na jego ukłon, i mruknąwszy coś przez zęby, już wstrząsnął nahajką...

— Jakiż piękny koń pański! pospieszył dodać djakon: to już doprawdy można szczęściu waszemu przypisać. Prawdziwie — z was mąż cudnego umysłu; prosto: jak lew! Ojciec djakon słynął krasomóstwem, co mocno martwiło ojca popa, tak nieposiadającego daru słowa, że mu nawet wódka nie rozwiązywała języka. — Jeden dobytek wydarł wam podstęp złych ludzi, — ciągnął djakon —, a wy bynajmniéj nie rozpaczając, a przeciwnie, ufając Opatrzności Bożéj, nabyliście sobie konia drugiego, wcale nie gorszego — a, kto wie, może i lepszego... bo...

— Co ty łżesz? ponuro przerwał Czertopchanów; cóż to za drugi koń? To ten sam; to Malek-Adel... Odszukałem go. Paple, prze...

— E! e! e! e! wymówił z namysłem i nawet z przekąsem djakon przebierając palcami po brodzie i mierząc Czertopchanowa swemi jasnemi, łakomemi oczyma. Jakże to, mój panie? Toż, jeśli mnie pamięć nie myli, przeszło rok temu jak konia waszego ukradli?

— No tak i cóż z tego?

— Jakto co? Więc jakimże sposobem — jeśli rok od tego czasu minął — a koń wasz był wtenczas siwojabłkowity, mógłby dziś być takim samym, a nawet ciemniejszym? Toż siwe konie w przeciągu jednego roku znacznie bieleją.

Czertopchanow drgnął... jakby mu kto włócznią przebił serce. I rzeczywiście: przecież siwa maść się zmienia! Jak jemu do téj pory mogła nie przyjść na myśl taka prosta uwaga?

— Gapiu przeklęty! odczep się! krzyknął nagle i wściekle łysnąwszy oczyma — w jednéj chwili zniknął z oczu zdumionego djakona.

No! Już po wszystkiemu!

Wszystko skończone, wszystko strzaskane, ostatnia karta zabita! Wszystko od razu runęło pod jednem słowem: „bieleją!“

Pędź, pędź, przeklęty! Przed tem słowem nie uciekniesz!

Czertopchanow dopadł domu i znowu zamknął się na klucz.

XI.

Że to nędzne konisko nie Malek-Adel, że między nim a tamtym nie istniało najmniejsze podobieństwo, że każdy, nieco mądrzejszy człowiek, powinien to był spostrzedz odrazu, że on, Pantaleon Czertopchanow oszukał się najpospolitszym sposobem — nie! że umyślnie z zamiarem, zwodził się, i wzrok swój ćmił tumanem — to wszystko nie ulegało już teraz najmniejszéj wątpliwości! Czertopchanow chodził po pokoju tam i napowrót, szamocząć się jak zwierz w klatce. Nietylko jego miłość własna zraniona dotkliwie — nieznośnie cierpiała; owładnęła nim rozpacz, złość i chęć zemsty. Ale na kim się zemścić? Na żydzie, na djakonie, złodzieju, kozaku, na wszystkich sąsiadach, na całym świecie, na sobie samym nakoniec? Tracił rozum. Ostatnia karta przegrała! (Podobało mu się to porównanie). I on znowu najnędzniejszy z ludzi, pośmiewisko ogółu, przedmiot szyderstwa... dla djakona!! O przekleństwo!!... Napróżno Czertopchanow starał się uspokoić, napróżno pragnął przekonać się, że ten... koń, choć nie Malek-Adel, zawsze jednak... niezły, że może mu wiele lat jeszcze służyć: natychmiast z gniewem odpychał tę myśl, uważając ją jako krzywdzącą Malek-Adela, względem którego i tak czuł się być winnym. Jakto! tę szkapę, to bydlę — on jak ślepy, jak dudek brał za Malek-Adela! A co do usług, jakieby mu jeszcze oddać mogła... o, już on na nią nie siądzie za nic! nigdy!... Tatarzynowi ją odda, psom na pożarcie rzuci... ona niczego więcéj nie warta. Tak! to najlepiéj!

Przez dwie godziny Czertopchanow chodził po pokoju.

— Jaśku! nagle zakomenderował. Idź natychmiast do karczmy; przynieś pół wiadra wódki! Słyszysz? Tylko żywo! Żeby tu, u mnie, na stole, w téj chwili wódka stała.

Wódka niezwłocznie zjawiła się na stole Pantaleona Jeremjaszewicza i on zaczął pić.

XII.

Ktoby wówczas popatrzył na Czertopchanowa, ktoby mógł być świadkiem téj ponuréj złości, z jaką on szklankę za szklanką osuszał — tenby uczuł z pewnością mimowolny strach. Nastąpiła noc; łojowa świeczka bladym płomykiem oświecała izbę. Czertopchanów przestał włóczyć się z kąta w kąt; siedział czerwony, z zamglonemi oczyma, które albo spuszczał w ziemię, albo uparcie wlepiał w okno; wstawał, nalewał sobie wódki, wypijał ją. Znów siadał i oczy utkiwszy w jeden punkt, nie poruszał się — a oddech stawał się coraz szybszym, twarz coraz czerwieńszą. Zdawało się, że w nim dojrzewa jakieś postanowienie, które jego samego jeszcze trwogą przejmuje, ale do którego stopniowo już przywykać zaczyna; jedna i ta sama myśl bezustannie i natrętnie nasuwała się coraz, coraz to bliżéj, jeden obraz z każdą chwilą jaśniéj i wyraźniéj rysował się przed nim a w sercu pod rozpalającym wpływem wódki, rozdraźnienie i gniew zmieniały się już w zwierzęcość — na ustach pojawił się złowieszczy uśmiech...

— No już czas! przemówił prawie tęskno — będzie potem chłodniéj!

Wypił ostatni kieliszek, zdjął z nad łóżka pistolet, nabił go, „na wszelki wypadek“ wsunął kilka pistonów w kieszeń — i udał się do stajni.

Słysząc otwieranie drzwi, podbiegł stróż — ale Czertopchanow odprawił go spać. Wszedł do stajni, Malek-Adel... fałszywy; Malek-Adel leżał na posłaniu. Czertopchanow kopnął go, dodawszy: „Wstawaj wrono!“ Potem odwiązał uzdeczkę od żłobu, zdjął i zrzucił na ziemię derę — i posłusznego konia wywiódł na podwó-

rze, z podwórza w pole, ku wielkiemu zdumieniu stróża, nie mogącego pojąć, gdzie może iść jego pan, no"ą, z nieokiełznanym koniem? Zapytać go — naturalnie obawiał się, przeprowadził go tylko oczyma póty, póki ten nie znikł na skręcie drogi, prowadzącéj do lasu.

XIV.

Czertopchanow szedł szybko, nie zatrzymując się i nie oglądając; Malek-Adel — pozostawimy mu to imię do końca — pokornie postępował za swojim panem. Noc była dość jasna; Czertopchanow mógł rozróżnić zębate kontury lasu, czerniącego w oddali. Owiany nocnym chłodem, byłby się niezawodnie wytrzeźwił — gdyby nie to, że szał, który go opanował, silniejszym był od odurzenia wódką. Głowa mu ciężyła, szedł jednak pewnym krokiem i wiedział, gdzie idzie.

Postanowił zabić Malek-Adela; cały dzień o tem tylko myślał... Teraz się zdecydował! Szedł spełnić czyn ten ze spokojem ale z pewnością siebie, jak idzie człowiek poddający się poczuciu obowiązku. Dla niego ta „sztuka" wydawała się bardzo „naturalną:" zabiwszy samozwańca od razu pokwituje się ze wszystkiem" i siebie ukarze za swoją głupotę i uniewinni się przed swoim prawdziwym przyjacielem i całemu światu pokaże, (Czertopchanow troszczył się bardzo o „cały świat") że z nim się nie żartuje... a głównie: sam się zabije razem z samozwańcem bo pocóż ma żyć? Jak to wszystko się składało w jego głowie — i dla czego czyn taki wydawał mu się tak naturalnym — objaśnić nie łatwo choć i niezupełnie niepodobna: skrzywdzony, samotny, bez przyjaznéj mu duszy, bez grosza, a przytem rozpalony wódką, był w stanie blizkiem szaleństwa, a nie ma wątpliwości, że w oczach obłąkanych najniedorzeczniejsze ich czyny mają swojego rodzaju logikę, a nawet prawo za sobą. Czertopchanow przekonany był o prawności swego czynu; nie wahał się lecz spieszył spełnić wyrok na winnym, nie zdając sobie zresztą jasno sprawy z tego: kogo właściwie obejmował tem imieniem?... Prawdę mówiąc, mało on zastanawiał się nad tem, co zamierzał uczynić. „Trzeba kończyć" szeptał bezmyślnie i surowo; „kończyć trzeba."

A niewinny winowajca trząsł pokornym kłusikiem za jego plecami. Ale w sercu Czertopchanowa nie było litości.

XIV.

Niedaleko od brzegu lasu, dokąd przywiódł swego konia, ciągnął się nie wielki parów, do połowy dębowemi krzakami zarosły. Czertopchanow spuścił się tam... Malek-Adel potknął się i ledwo nie upadł na niego.

Czy zadusić mnie chcesz, przeklęty! krzyknął Czertopchanow — i, niby broniąc się, wyciągnął pistolet z kieszeni. Już nie obojętność czuł — ale tę odrętwiałość uczucia, które jak mówią, owłada człowiekiem przed spełnieniem występku. Ale własny głos go przeraził — tak dziko zabrzmiał pod sklepieniem ciemnych gałęzi, w zgniłéj, ściśniętéj wilgoci leśnego parowu! Do tego jeszcze, jakby odpowiadając na jego wykrzyk — jakiś wielki ptak nagle zatrzepotał na wierzchołku drzewa, tuż nad jego głową... Czertopchanów drgnął. Prawdziwie, rozbudzał świadka swego dzieła — i gdzie? w tem głuchem miejscu, w którem nie powinien był spotkać żywéj duszy...

— Wynoś się, djable, na wszystkie cztery strony świata! bąknął przez zęby — i wypuściwszy cugle Malek-Adela, w zapędzie uderzył go przykładem pistoletu. Malek-Adel szybko zwrócił się, wygramolił z parowu... i zniknął. W chwilę potem przycichnął stuk kopyt. Silny wiatr pomięszał i zatarł wszelkie dźwięki. Z kolei Czertopchanów zwolna wydostał się z parowu, doszedł do kraju lasu — i powlókł się do domu. Niekontent był z siebie; ociężałość którą czuł w głowie, w sercu, rozchodziła się po wszystkich członkach; szedł gniewny, ponury, niezadowolony, głodny, jakby go ktoś zelżył, odebrał mu zdobycz, łup...

(D. n.)

Redaktor Tadeusz Kamieński w Poznaniu. — Nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu.

TYGODNIK POWIEŚCI.

Nr. 3… …º Października … …k I.

Prenumerata w … … a kwartalnie
rocznie 8 marek … …otę w objętości 1 — … …kie księgarnie
kwar…

… je ży…

Powieść

T. Jeża…

(Ciąg dalszy).

Szczeg… … sofę.
Czekajmy. . … …im ja
sposobem d…
. Zagadl… … Klucz
w zamku z… … orzyły
i weszła Dy…
— Pa… … wienie
doszło kulm…
Dyana… … zy go
skinieniem … …a mu
ten sam bil… … ojenia
jéj podziwu… … i na
Endymiona.
— Wi… … mówił
pierwszy po…
— Ni… … Dyana,
obok podzięk… … znasz
położenie i s… … sunki
moje, ale nie… … ili po
wszystkich s… … Mnie
podziwiają, … … zwoi-
tości; panu … … nniał.
Wyjaśnienie … … ój po-
między pane… … moimi
opiekunami. … … ręku
swojém trzy… … mój,
kobiety, któ… … y nie
pan. Pomy… … o za-
wikłania?
Edymi… … i od-
powiedział:

— … … ki, przy
rozwiązan…
Dy… … w oczy.
— …
W … … odać po-
trzeba, ż… … ki, znaj-
dowała s… … było nie-
podobnem… … dla En-
dymiona, … … chodził
sposobem … … nada jéj
obrot. N… … o, ażeby
ją miał … … później,
na kiedyś … … dziéj re-
gularnego … … chwilę.
Oto był …
— …
Dya…
— … … ne śluby
na ślubny … … ć przed
panią m… … ie przy-
wiązuję … … ć w celu
ścieśniani… … mie się,
że się sp… … oją sza-
nowała w…
— … … podając
Endymion…
Ty… … ny krzy-
knęły:
— …
Gdy… … tem nic
dziwnego… … piękno-

rze, z podwórza w pole, ku wielkiemu zdumieniu stróża, nie mogącego pojąć, gdzie może iść jego pan, nocą, z nieokiełznanym koniem? Zapytać go — naturalnie obawiał się, przepr[...] [...]n nie znikł na skr[...]

Czerto[...] [...]ąc się i nie oglądą[...] [...] imię do końca — [...] Noc była dość ja[...] [...]e kontury lasu, [...] chłodem, byłby [...] [...]ie to, że szał, kt[...] [...]rzenia wódką. Gł[...] [...] krokiem i wie[...]

Posta[...] [...]o tem tylko myśl[...] [...]pełnić czyn ten z[...] idzie człowiek po[...] [...]niego ta „sztuka“ [...] [...]biwszy samozwańca [...] i siebie ukarze [...] swoim prawdziwym [...] (Czertopchanow [...] z nim się nie żart[...] [...] z samozwańcem [...] składało w jeg[...] [...]dawał mu się tak [...] i niezupełnie n[...] przyjaznéj mu [...] [...]wódką, był w stan[...] [...]twości, że w ocza[...] czyny mają swoje [...] sobą. Czertopchan[...] [...]czynu; nie wahał s[...] [...]m, nie zdając sobie [...] właściwie obejmo[...] mało on zastanaw[...] [...]rzeba,

trzeba kończyć“ szeptał bezmyślnie i surowo; „kończyć trzeba.“

A[...] [...] kłusikiem za jeg[...] [...] nie było litości.

N[...] [...]ódł swego konia, [...] dębowemi krzakan[...] [...] tam... Malek-[...] [...]niego.

C[...] [...]nął Czertopchan[...] [...]ł pistolet z kiesz[...] odrętwiałość u[...] [...]iem przed spełnie[...] [...]zeraził — tak dz[...] [...]h gałęzi, w zgnił[...] Do tego jeszcze, [...] [...]k — jakiś wielki [...] [...]rzewa, tuż nad je[...] [...]rawdziwie, rozbudz[...] tem głuchem [...] [...]kać żywéj duszy...

— [...] [...]ery strony świata! [...] [...]ugle Malek-Ad[...] pistoletu. Malek-[...] [...]parowu... i znikn[...] [...]k kopyt. Silny [...] [...]i. Z kolei Czerto[...] [...]doszedł do kraju [...] [...]ntent był z siebie [...] [...]u, rozchodził s[...] [...]iewny, ponury, [...] [...]elżył, odebrał m[...]

[...]D. n.)

[...] [...]wartałem u[...] [...] naszych o wczes[...] [...]właszcza na [...] [...]zgłaszającym s[...] [...]dności w [...] [...]umerów, oraz o ż[...] [...] pisma. W [...] [...]czniemy przekład[...] [...]dwóch pó[...] [...]wóróżny [...] poczem będziemy zamieszczali oryginalne, i tłómaczone powieści z szwedzkiego, włoskiego, niemieckiego itd, które już gotowe leżą w naszéj tece. Nowoprzybywający prenumeratorowie od 1 stycznia 1879 r. otrzymają początki powieści wyżéj wymienionych, **bezpłatnie.**

N. Kamieński i Spółka,
księgarnia w Poznaniu.

Redaktor Tadeusz Kamieński w Poznaniu. — Nakładem i drukiem N. Kamieńskiego i Sp. w Poznaniu.